# SPOTKANIA

NIEZALEŻNE PISMO
KATOLIKÓW

nr 31

KRAKÓW - LUBLIN - WARSZAWA
1986

S P I S  T R E Ś C I

Ojcze nasz... /śpiewy nabożne polskie 1861/ 3

MŁODZIEŻ
Abp. H. Gulbinowicz - Młodzież polska w obecnej rzeczywistości 4
W.Wyrwa - Polska młodzież a przyszłość kraju 28

TRADYCJA
E.Jabłońska-Deptuła - Rodzina w przekazywaniu etosu narodowego wczoraj i dziś 54
S.B. - Miętne - kartka z dziejów nowych i najnowszych 82

SZKOŁA
S.Z. - Szkoła współczesna - wzory i rzeczywistość 100
E.K. - Klasówka 123

SPÓR O POSTAWĘ
A.Grzegorczyk - Non-violence "po polsku" 129
W.Chudy - Postawa chrześcijanina w dzisiejszej Polsce 146
A.Stanowski - Czym jest "non-violence" 164

ROZMOWY "SPOTKAŃ"
E.Berberyusz, T.Torańska - Współbrzmienie rozmowa z abp. H.Gulbinowiczem 172

POLACY W ZSRR
A.Pulikiewicz - Szkoła dla dzieci polskich zesłańców 192

W OCZACH ZACHODU 206
N.Ascherson - W kierunku niezbadanego obszaru 209
L.Weschler - Maj 1981 217
Rozmowa E.Berberyusz z N.Daviesem "Zgubiło was powodzenie" 231

OD ZBRODNI DO FAŁSZERSTWA
Płk S.W. - Sprawa "Cienia" /Bolesława Kowalskiego/ 243

KRONIKA 258

# POLACY W ZSRR

## Aldona Pulikiewicz

## SZKOŁA DLA DZIECI POLSKICH ZESŁAŃCÓW

Wśród zesłańców w naszym posiołku prawie każda rodzina miała dzieci. Na ogół w wieku szkolnym. Ale szkoły nie było. Dlatego też władze postanowiły zorganizować szkołę dla naszych dzieci mając zresztą na względzie swoje - nie nasze interesy. Bo język rosyjski miał być przecież wykładowym, a program - sowiecki.

Pewnego razu wezwał mnie do siebie komendant posiołka i oświadczył, że zamierza otworzyć dla naszych dzieci szkołę, żeby uczyły się po rosyjsku. Ponieważ jednak dzieci nie znają tego języka wskazane jest, by uczyła je Polka mówiąca dobrze po rosyjsku. Gdy dzieci przejdą już wstępny etap nauki, przyjadą Rosjanki, które przejmą funkcje nauczycielek.

Na koniec oświadczył mi, że to ja mam być nauczycielką, ja mam obecnie uczyć polskie dzieci w Gramatusze języka rosyjskiego. Byłam tą propozycją zaskoczona i wręcz przerażona. Próbowałam się zatem wykręcać jak tylko mogłam.

Powiedziałam, że moja znajomość języka

rosyjskiego nie jest aż tak dobra bym mogła uczyć dzieci. Poza tym mam małe dziecko, którego - ucząc w szkole - nie miałabym z kim zostawić. Na wszystkie moje nieśmiałe protesty i perswazje odpowiadał ostro:

- Wy szto, grażdanka? Zapomnieliście kim tu jesteście? Spec-peresiedleńcy nie mają nic do gadania! Muszą słuchać i tyle. Dodał jeszcze, że brak zgody na podjęcie pracy będzie uważany za sabotaż i karany z całą surowością.

- W takim wypadku - dorzucił na zakończenie - wyślę waszą rodzinę do obozu!

Cóż miałam robić! Musiałam się zgodzić. Postawiłam tylko warunek: wobec tego, że dzieci nie znają języka rosyjskiego, mogę go traktować jedynie jako przedmiot nauczania, a poza lekcjami będę się z nimi porozumiewać po polsku.

Po dłuższym namyśle zgodził się. Zapowiedział tylko, że niedługo przyjedzie inspektor szkolny, który udzieli mi instrukcji w sprawie programu nauczania. Wyznaczył też od razu budynek, w którym miała odbywać się nauka, obiecał pomoc w jego wyposażeniu i polecił, bym sprawami szkoły zajęła się od razu, z miejsca.

W osadzie zaczął się ruch. Wbrew moim obawom, rodzice w gruncie rzeczy ucieszyli się, że będzie szkoła - choć taka. Wszyscy zatem wzięli się do roboty przy urządzaniu budynku szkolnego. Kobiety smarowały ściany gliną, potem je bieliły, myły okna, sprzątały. Komendant zdobył jakieś połamane ławki i stoły, które mężczyźni po pracy w kopalni naprawili i ustawiali. Poza tym zorganizowano opiekę nad moją córeczką, która była w wieku przedszkolnym, bym mogła spokojnie zająć się nauczaniem.

Po kilku dniach wezwał mnie kapitan Kopyszew. Każde takie wezwanie budziło w nas lęk. Był on przecież panem naszego życia i śmierci! Nigdy nie było wiadomo o co mu chodzi. A nuż wydarzyło się coś złego? Dlatego i ja szłam do kancelarii ze strachem.

A może naraziłam mu się w jakiś sposób? Jeżeli tak, to gotów wysłać nas gdzie indziej, może do jeszcze gorszych warunków. Idąc, cały czas modliłam się żarliwie, by nie stało się nam nic złego.

Tym razem mój strach okazał się zbędny. U komendanta czekał na mnie inspektor szkolny, Gruzin. Prawdopodobnie też zesłaniec czy wysiedleniec, bo co by w przeciwnym wypadku robił na Syberii? Był to starszy pan, inteligentny i kulturalny. Mogłam z nim spokojnie rozmawiać o wszystkim, rzecz jasna z wyjątkiem spraw politycznych.

W czasie tej wstępnej konferencji przedstawiono mi spis uczniów. Było na nim trzydziestu pięciu uczniów polskich w wieku od siedmiu do piętnastu lat oraz trzech Rosjan, których ojcowie należeli do obsługi naszej kopalni. Od razu zorientowałam się, że będę miała w klasie szpiegów.

Powiedziano mi też, że ze względu na klimat, lekcje odbywać się będą tylko od początku kwietnia do końca października, ponieważ przez resztę roku mrozy i śniegi udaremniałyby naukę.

Organizacja szkoły byłaby bardzo trudna: żaden z uczniów, bez względu na wiek, nie umiał ani słowa po rosyjsku. Dlatego też inspektor zaproponował mi, bym na początku prowadziła jedną tylko klasę, ale na dwu poziomach nauczania. Po jakimś czasie starszych uczniów przeniesie

się do innych klas. Poza tym miałam - na razie, - prowadzić naukę tylko jednego przedmiotu: języka rosyjskiego.

Na otwarciu szkoły obecny był kapitan Kopyszew, który nieco wcześniej zorganizował pewną ilość ołówków, zeszytów i podręczników, których w posiołku nie można było dostać. Na owej pierwszej lekcji przemówił on do dzieci, naturalnie po rosyjsku, wobec czego z pewnością nie został przez nie zrozumiany. Mówił o potrzebie nauki i o tym, że w Sowieckim Sojuzie każdy ma do niej prawo. Następnie zaczął wychwalać karność i pracowitość sowieckich dzieci. W czasie jego wypowiedzi patrzyłam na moich uczniów. Robili wrażenie całkowicie nie rozumiejących.

Chciało mi się płakać. Siedziały przede mną dzieci o bladych i smutnych twarzyczkach, nędznie ubrane, w poniszczonych bucikach. Ledwie mogłam powstrzymać łzy.

Pewnie i komendant zorientował się w nienormalnej sytuacji, bo przerwawszy przemówienie rozejrzał się po klasie, spojrzał na mnie i odchrząknąwszy powiedział: - no cóż... proszę zaczynać.

Zaraz potem wyszedł z klasy.

Początek mojej pracy w tej osobliwej szkole był bardzo trudny. Dzieci, zwłaszcza młodsze, nie mogły pojąć: dlaczego w czasie lekcji muszą na moje pytania odpowiadać po rosyjsku, podczas gdy na przerwach wszyscy mówimy po polsku. Nie umiały zresztą odpowiadać po rosyjsku. Gdy zadałam pytanie w tym języku, powstawał w klasie gwar w języku polskim. Było to niedopuszczalne i mogło się dla mnie źle skończyć.

Nie było wobec tego innego wyjścia, jak tylko przemówić do dzieci po polsku. Prosiłam

je zatem, by naukę języka rosyjskiego potraktowały poważnie. Nie wiadomo przecież, jak długo będziemy przebywać w tym kraju. Mogą być takie sytuacje, że od znajomości języka będzie zależało bardzo wiele.

Tak więc - prosiłam - na pytanie zadane po rosyjsku należy odpowiadać w tym samym języku. Kto nie potrafi, niech na razie milczy. Stopniowo dzieci przyzwyczaiły się do tej dziwnej sytuacji. Zrozumiały, że na przerwach wolno mówić po polsku, a na lekcjach nie. Często, zwłaszcza w początkowym okresie mojej pracy w szkole, do klasy przychodził bez zapowiadania kapitan Kopyszew. Na ogół nie zadawał żadnych pytań. Chodził po klasie, przeglądał zeszyty, podręczniki, zaglądał pod ławki, słuchał uważnie tego co mówiłam, a także odpowiedzi uczniów. Po kilku tygodniach inspektor szkolny przyjechał na wizytację. Przez cały dzień był obecny na lekcjach. I on także nie zadawał żadnych pytań. Przysłuchiwał się tylko uważnie odpowiedziom dzieci.

W tym czasie niektóre z nich umiały już jako tako pisać i czytać po rosyjsku. Nawet dyktanda przy tablicy wypadały nieźle. Młodsze dzieci orientowały się w alfabecie rosyjskim i umiały po kilka zwrotów w tym języku. Wizytacja wypadła zatem pomyślnie. Inspektor był wyraźnie zadowolony. Po lekcjach zapytał mnie, dlaczego nie uczę dzieci śpiewać. Odpowiedziałam, że nie znam rosyjskich piosenek, a śpiewnika nie mam. Mogłabym zatem uczyć dzieci tylko polskiego śpiewu.

Ku memu zaskoczeniu, po namyśle zgodził się na to. Wyraźnie tylko zastrzegł, że nie

mogą to być pieśni religijne ani patriotyczne. Oczywiście, musiałam przyjąć jego warunki, ciesząc się już z góry radością dzieci.

Rzeczywiście, wiadomość, że odtąd będziemy w szkole śpiewać po polsku, wywołała w klasie ogromny entuzjazm. Zabrałam się więc do spisywania znanych sobie polskich pieśni pamiętając o przyrzeczeniu złożonym inspektorowi. Zresztą próba przekroczenia jego zakazu skończyłaby się dla mnie tragicznie. Uczniowie Rosjanie natychmiast donieśliby komendantowi o złamaniu przeze mnie przepisu, a już on wiedziałby co w takim wypadku uczynić.

Towarzysze niedoli pomogli mi w spisywaniu tekstów podając mi takie, których nie znałam lub nie pamiętałam. W ten sposób powstał niebawem pokaźny śpiewniczek polskich pieśni. Cieszyłam się ogromnie. Dzięki temu śpiewniczkowi mogłam oficjalnie - nie narażając się na niebezpieczeństwo - prowadzić lekcje po polsku. Musiałam przecież pisać teksty na tablicy po polsku! Dzieci musiały je wpisywać do zeszytów. Mogłam poprawiać ich błędy...

Co prawda kapitan Kopyszew - jakby czytając w moich myślach - oświadczył mi niedługo po wizytacji, że lekcje śpiewu po polsku mogą odbywać się tylko raz w tygodniu, ale i tak był to dla mnie wspaniały dar losu. Byłam znowu polską nauczycielką!

Komendant zgłosił jeszcze jedno zastrzeżenie. Zażądał, by wszystkie teksty piosenek polskich były przetłumaczone na rosyjski i dostarczone mu na piśmie.

Odpowiedziałam, że wymaga ode mnie stanowczo za dużo. Mam przecież obowiązki domowe, prawie

cały dzień uczę w szkole, nie mam czasu, by zająć się przygotowaniem posiłków i zdobyciem pożywienia /zbieranie grzybów czy jagód - nie mogłam mu przecież powiedzieć o zakazanym handlu wymiennym/ oraz wychowywaniem mojej córeczki. Ponadto - dodałam - mój mąż w kopalni zarabia grosze, a ja od dwu miesięcy ciężko pracuję w szkole i nikt mi za to nie płaci.

Zastanowił się i po chwili odrzekł, że pensja nauczycielska w Związku Sowieckim wynosi 240 rubli miesięcznie. Nie wiedział ile ja mogę otrzymać, ale zapewnił, że niedługo otrzymam wynagrodzenie.

Byłam więc spokojniejsza o byt mojej rodziny. Mogłam z większą energią poświęcić się pracy w szkole, zwłaszcza nauce śpiewu, którą prowadziłam także i na przerwach w formie zabaw z dziećmi. Ale za to dawało to wyniki.

Niedługo moi uczniowie mieli to udowodnić. Nasza szkoła została zaproszona do udziału w obchodach rocznicy rewolucji październikowej, które miały się odbyć w sąsiednim posiołku, w Udarnym, gdzie znajdowała się kopalnia złota będącą pod wspólnym zarządem z naszą. Było to dwa kilometry od Gramotuchy, ścieżką przez tajgę.

Uroczystość wyznaczono na godzinę jedenastą. Odpowiednio wcześniej zebrałam wszystkie dzieci, które szykowały się do drogi ciesząc się wycieczką. Wybrały się też z nami niektóre matki, by zapewnić dzieciom lepszą opiekę. Przez całą drogę śpiewaliśmy polskie piosenki.

Tajga milczała ponuro. Dziwnie brzmiały w niej polskie słowa, którym odpowiadało echo. Nie były tu jednak nowością. Byliśmy pewni,

że nie jesteśmy pierwszym pokoleniem polskich zesłańców w Górach Sajańskich.

Na miejscu przyjęto nas nad podziw serdecznie. Dzieci zaprowadzono do stołówki, gdzie każde z nich dostało kubek gorącej kawy zbożowej i kromkę chleba z marmoladą. Prawdziwa uczta!

Salę, w której odbywała się uroczystość, udekorowano czerwonymi flagami,emblematami sierpa i młota, portretami Stalina i innych sowieckich przywódców oraz sloganami w rodzaju: "Dziękujemy ci towarzyszu Stalin za nasze szczęśliwe dzieciństwo". Brzmiało to jak szyderstwo, chyba nie tylko dla nas...

Po odśpiewaniu sowieckiego hymnu i wysłuchaniu kilku przemówień, rozpoczęła się część artystyczna. I znowu miła niespodzianka: zapowiedziano - jako pierwsze - występy polskich dzieci z posiołka Gramatucha. Moi uczniowie deklamowali trzy krótkie wiersze po rosyjsku, a następnie wszystkie dzieci śpiewały chórem polskie pieśni: "Góralu czy ci nie żal...", "Czerwony pas", "Rosła kalina z liściem szerokim" i inne.

Nasze występy przyjęto bardzo ciepło. Widziałam na twarzach wielu słuchaczy wyraźne wzruszenie: nasze dzieci niedożywione, biednie ubrane - a śpiewały tak ładnie, były miłe, uśmiechnięte, wesołe. Dlatego też nasze występy obficie nagrodzono oklaskami.

Po zakończeniu części artystycznej, której główny zrąb tworzyły występy uczniów szkół sowieckich, odpowiednio zestawione treściowo, zabrano nasze dzieci do stołówki na obiad. Znowu uczta! Talerze zupy i kluski z sosem wydawały się nam prawdziwymi specjałami.

Na obiedzie byli też mężczyźni z Gramatuchy,

których zaproszono na tę uroczystość. Mogło się to dla nich źle skończyć. Przy obiedzie dano im po szklaneczce spirytusu. Na wycieńczonych ciężką pracą i niedożywionych podziałał on od razu. Zaczęli patrzeć śmiało, wysoko podnosić głowy. Na szczęście zaraz po obiedzie ruszyliśmy w drogę powrotną, by zdążyć do domów przed zapadnięciem zmroku.

Szedł z nami także kapitan Kopyszew. W pewnej chwili z gromady mężczyzn idących tajgą przed nami doleciał pojedynczy śpiew: "Naprzód, drużyno strzelecka ..." - a zaraz potem chóralnie podjęty refren: "Czy przyjdzie nam zginąć wśród boju, czy w tajgach Sybiru nam zgnić, z trudu naszego i znoju Polska powstanie, by żyć".

Pieśń rozlegała się donośnie. Niosła się echem przez tajgę. Dumna. Niepodległa. Komendant nie rozumiał, rzecz jasna, po polsku, ale pojął od razu słowa: "w tajgach Sybiru", "Polska" - to mu wystarczyło. Nie był on - jak już pisałam - złym człowiekiem, ale musiał przecież wypełniać swoje obowiązki enkawudzisty.

Dlatego też natychmiast zaczął biec wzdłuż śpiewającej gromady, machając rękoma i krzycząc: "Prekratit, prekratit!" - przerwać!

Nie dało to rezultatu. Żaden rozkaz nie zdołał przerwać pieśni, w której żywiołowo brzmiała gorąca tęsknota do Polski i miłość do niej.

Nazajutrz komendant wezwał do siebie wszystkich naszych mężczyzn. Kiedy się zgromadzili, wyszedł z kancelarii i zapowiedział, że nie będzie tolerował takich występków, jak wczorajszy. "Jeśli się to jeszcze raz powtórzy - zakończył - moja cierpliwość i dobroć skończy się dla

was raz na zawsze!"

Po tym wydarzeniu zaczął częściej wizytować naszą szkołę bojąc się widocznie, że nie przestrzegam jego poleceń. Chodził między ławkami, zaglądał w zeszyty, słuchał. Na ogół jednak milczał.

Któregoś dnia przeglądając podręczniki chłopców zobaczył, że w jednej książce na portrecie Stalina dorysowane są rogi. Co gorsza, nie była to własność dziecka. Książka należała do piętnastoletniego chłopca. Sprawa była bardzo poważna, a jej konsekwencje mogły być groźne.

Natychmiast zawołał mnie do ławki, na której znalazł książkę i zapytał, czy przeglądam podręczniki uczniów. Odpowiedziałam, że robię to codziennie, ale na ostatniej lekcji. Pokazał mi wtedy fotografię rogatego Stalina, pytając, czy to widziałam. Naturalnie zaprzeczyłam.

Zwrócił się wtedy do chłopca:

- Ty rysowałeś te rogi?
- Nie, grażdanin komendant.
- A skąd masz tę książkę?
- Matka mi wczoraj przyniosła z Udarnego.

Posłał po matkę chłopca. Przybiegła zadyszana, wylękniona. Pyta:

- Wy grażdanka, skąd macie tę książkę?
- Kupiłam od jakiejś kobiety w Udarnym, grażdanin komendant.

Nie odpowiadając zabrał książkę i milcząc wyszedł z klasy. Nie wiedziałam, co mam robić: dalej prowadzić lekcję czy iść do domu i czekać na rezultat tego zajścia. Opanowawszy się, wróciłam do prowadzenia lekcji.

Okazało się, że postąpiłam słusznie. Komendant nigdy nie wrócił w rozmowie ze mną do tego

incydentu. Nie wyciągnął też żadnych konsekwencji w stosunku do tego chłopca i jego matki. Ale szkołę nadal często odwiedzał.

Zajmował się między innymi frekwencją, która na skutek chorób, braku odzieży i obuwia spadała coraz bardziej. Kopyszew chodził więc po barakach i przeprowadzał uświadamiające rozmowy z rodzicami dzieci mających najwięcej nieobecności w szkole, tłumacząc im, że w Związku Sowieckim wszystkie dzieci muszą chodzić do szkoły.

Pewnego razu jedna z matek na pytanie, dlaczego jej syn nie chodzi do szkoły odpowiedziała, że nie ma butów, a zaraz potem dodała:

- Ja wiem, panie komendancie, że to źle, bo jak nie będzie chodził do szkoły, to chyba pastuchem zostanie...

Przerwał oburzony:

- Co wy wygadujecie, grażdanka? U nas, w Sowieckim Sajuzie, pastuch eto paczotnoje słowo /Zaszczytne/. Woroszyłow był pastuchem, a teraz on jest marszałkiem!

Na taki argument przerażona kobieta zaczęła gorąco przepraszać mówiąc, że nie chciała obrazić grażdanina marszałka ani grażdanina komendanta.

Rozmowy te nie odnosiły wielkiego skutku. Dzieci bose i zapadające na zdrowiu skutkiem niedożywienia, nie mogły regularnie uczęszczać na lekcje. Mimo to szkoła nadal istniała, a nawet w jakiś sposób rozwijała się. Dzieci były chętne do nauki i miłe. Pracowało się z nimi przyjemnie.

Wreszcie, po dwóch miesiącach pracy, zaczęto mi wypłacać pensję. Aż 240 rubli miesięcznie! Co jednak z tego, kiedy nie mogłam nic za to kupić! Magazyn w posiołku przeważnie był pusty.

Osiedleńcy narodowości rosyjskiej też niechętnie sprzedawali coś za pieniądze. Woleli handel wymienny, za rzeczy, ale tych mieliśmy coraz mniej.

W listopadzie 1940 roku przyjechały do Gramatuchy dwie Rosjanki, nauczycielki, z których jedna miała być kierowniczką szkoły. Sądziłam, że będę mogła odejść i zająć się własnymi sprawami, tym bardziej, że moje dzieci zaczęły chorować i potrzebowały stałej opieki. Tymczasem kapitan Kopyszew oświadczył, że muszę zostać na swoim stanowisku, dopóki dzieci nie przyzwyczają się do nowych nauczycielek.

Musiałam zatem nadal pracować. Co prawda niedługo po przyjeździe Rosjanek zaczęła się zimowa przerwa w nauce, ale z wiosną roku 1941 wróciłam do moich nauczycielskich obowiązków. Trudno mi je było godzić ze sprawami domowymi, miałam bowiem więcej kłopotów i zajęć z powodu chorób moich dzieci.

W szkole był teraz stały szpieg w osobie nowej kierowniczki. Ustały lekcje śpiewu po polsku. Teraz już tylko na przerwach mogłam rozmawiać z dziećmi w języku polskim.

Kiedyś zdarzył się w czasie lekcji bardzo nieprzyjemny wypadek. Jedna z moich uczennic przyniosła do klasy temperówkę. Zwyczajną temperówkę, pewnie jeszcze z Polski, bo przecież nie kupiła jej w posiołku, a komendant nie zaopatrywał szkoły w tego rodzaju przedmioty.

Posiadaczka jedynej temperówki na wszystkich przerwach ostrzyła dzieciom ołówki, czemu z ogromnym zainteresowaniem przyglądali się trzej mali Rosjanie. Kiedy po lekcjach uczniowie zaczęli wychodzić, dziewczynka spostrzegła

brak temperówki. Zaczęła płakać. Nie pozwoliłam wówczas dzieciom wyjść z sali, dopóki nie znajdzie się zagubiony czy skradziony przedmiot.

W tym momencie weszła do klasy kierowniczka szkoły. Na pytanie, co się stało, opowiedziałam krótko o zajściu. Wtedy zwróciła się do dzieci z przemówieniem, którego treścią było oświadczenie, że uczniowie w Sowieckim Sojuzie nie kradną.

Uważnie patrzyłam na reakcję dzieci. Nagle trzej mali Rosjanie wysunęli się cicho z klasy, nie zauważeni przez kierowniczkę. Za nimi wybiegło kilku starszych uczniów - Polaków.

Po chwili usłyszeliśmy w szatni krzyk i łomot. Obie z kierowniczką wybiegłyśmy natychmiast i stanęłyśmy oniemiałe ze zdziwienia. Polscy chłopcy przyparli do muru swoich rosyjskich kolegów i przemocą ściągali im buty z nóg.

Kierowniczka już otwierała usta. Zapewne po to, by potępić ten rzekomy rozbój. Wtem z jednego buta wypadła skradziona temperówka. Sprawa została wyjaśniona. Kierowniczka wyszła w milczeniu, nie patrząc mi w oczy.

Na drugi dzień trzej Rosjanie nie przyszli do szkoły. Nigdy ich już nie zobaczyłam. W szkole ani w posiołku. Wolałam nie pytać. Czy to możliwe, by za ten dziecięcy wybryk wysłano ich do łagrów "wychowawczych"? Biedne dzieci!

Po kilku miesiącach wspólnej pracy z Rosjankami byłam u kresu wytrzymałości nerwowej. Nie miałam właściwie konkretnych powodów do narzekania, ale atmosfera ciągłego napięcia i strachu była nieznośna.

W tym okresie /latem 1941 roku/ podzielono szkołę w Gramatusze na trzy klasy. Mnie powierzono

klasę najstarszą, składającą się z dzieci od lat 13 do 15, między którymi było też kilku chłopców starszych, nawet do 17 lat.

Wszyscy oni chodzili w Polsce do gimnazjum, a niektórzy mieli nawet małą maturę. Do szkoły chodzili, by w ten sposób ustrzec się od pracy w kopalni złota. Jakimś cudem komendant nie zwrócił na to uwagi. A może nie chciał zwrócić? Jak już pisałam, był to człowiek dosyć ludzki i jeśli nie musiał, nie robił nikomu krzywdy.

W tym czasie przyjechał znowu na wizytację inspektor. Przywiózł ze sobą formularze do sporządzenia rozkładu materiału na cały rok szkolny, który zresztą już dawno był zaczęty, a rokiem był tylko z nazwy.

Zwróciłam się do niego ponownie z prośbą o zwolnienie z pracy. Odpowiedział, że to niemożliwe, ponieważ jestem niezbędna na zajmowanym stanowisku. Musiałam zatem zostać, a w dodatku wypełnić przywiezione przez niego formularze.

Wypełniając pozostawiłam puste tylko te rubryki, które dotyczyły antyreligijnego i ateistycznego wychowania dzieci. Niedługo potem inspektor przyjechał znowu i biorąc ode mnie formularze zapytał, dlaczego nie są całkowicie wypełnione. Odpowiedziałam, że wypełnić ich nie mogę, ponieważ jestem wierząca i nie wolno mi okłamywać dzieci.

Wbrew moim oczekiwaniom nie usłyszałam nagany ani napomnienia, bym wykonywała wszystkie obowiązki nauczycielki. Inspektor wziął ode mnie formularze w milczeniu. Po jego wyjeździe z dnia na dzień oczekiwałam wezwania do Kopyszewa, do kancelarii, i zawiadomienia o dymisji /co by mnie szczególnie nie zmartwiło, sama bowiem

starałam się o zwolnienie/, a może i o czymś gorszym.

Bałam się bardzo. Nie mogłam jednak postąpić inaczej. Tymczasem zamiast dymisji czy pisemnej nagany, nadeszła do posiołka niespodziewana i radosna wiadomość o amnestii dla wszystkich Polaków przebywających w Rosji Sowieckiej.

# W OCZACH ZACHODU

Zagraniczne publikacje na temat naszego kraju cieszą się u nas dziwną sławą. Z jednej strony przyjmujemy je bezkrytycznie, uważając prawie za rewelację fakt, że ktoś o nas pisze. Częściej jednak mamy do czynienia z ignorancją, która wynika nie tylko z barier językowych i trudności dostępu do prasy i książek wydawanych za granicą, ale również z postawy lekceważącej głosy tych, których uważamy za naiwnych, niewtajemniczonych i, wobec tego, nie będących w stanie zrozumieć specyficznej polskiej sytuacji.

Obie postawy, fascynacji i lekceważenia, zamykają niejako nasze doświadczenia w kręgu spraw lokalnych i odcinają nas od naturalnego przepływu myśli i informacji. Jeśli jednak przyjmiemy, że problemy polskie - szczególnie z lat ubiegłych - posiadają charakter uniwersalny, powinniśmy dbać nie tylko o naszą rzetelną

u nas bardzo znana."

tł. ABJ

# ZGUBIŁO WAS POWODZENIE

z NORMANEM DAVIESEM, historykiem angielskim, rozmawia Ewa Berberyusz.

Wygląda jak polski czterdziestolatek, tym typowym wyglądem polskich miast i wsi. Zastaję go, jak transportuje przez okno fortepian do swojego nowego mieszkania na poddaszu w północnej części Londynu. Ale i tą drogą fortepian nie chce przejść; otwory w pięknych "kamieniczkach" typu "Georgian" są za małe na tak duży sprzęt. Więc będzie musiał zrezygnować ze swojego hobby: gry na fortepianie. Z zawodu historyk. Rozgłos zawdzięcza pracom na temat Polski: dwutomowej syntetycznej historii jej dziejów pt. "God's Playground" /Igrzysko Pana Boga/ oraz jeszcze bardziej syntetycznemu ujęciu tematu pod zmienionym tytułem "Heart of Europe. A short History od Poland" /Serce Europy. Krótka historia Polski/. Jego prace nie są "brykiem". Skrótowość nie oznacza powierzchowności; w klarownym, jasnym wywodzie zawarł oryginalny własny punkt widzenia na nasze dzieje. Rozmowę odbywamy po polsku, przedstawiam ją z niewielkimi poprawkami językowymi.

Ewa Berberyusz: Czym jest dla Pana Polska?
Norman Davies: Przede wszystkim zbiorowiskiem

ludzi, których znam, cenię i kocham. Poznaję Polskę od dwudziestu paru lat i wciąż mnie fascynuje, wciąż odsłaniają się coraz inne obszary; im bardziej w nie wchodzę, tym, wydaje mi się, mniej o nich wiem.

E.B.: Im głębiej w las...

N.D.: ... tym więcej drzew. Tak, wedle tej zasady. Polski temat dostarcza materiału, którym obdzielić można wielu historyków i to o różnych temperamentach. Idealny teren.

E.B.: Jak Pan nań trafił?

N.D.: Jak chyba każdy obcokrajowiec, przez przypadek. Miałem jechać z grupą nauczycieli do Rosji, nie dostaliśmy wizy, więc nie chcąc tracić już zakupionego biletu kolejowego, przyjechaliśmy do Warszawy.

E.B.: Czyli jednak miłość zastępcza: nie można kochać Królewny, kocha się Kopciuszka.

N.D.: W bajce Kopciuszek zmienia się w Królewnę! Co do mnie: była to podróż w nieznanym kierunku.

E.B.: No, ale nie przez przypadek celował Pan w Rosję.

N.D.: Nie. Jeszcze wtedy wśród młodej inteligencji angielskiej istniało silne zainteresowanie tym krajem. Rosja wydawała się przeciwieństwem wszystkiego, co było u nas. Intelektualiści zachodni masowo tam jeździli, chcieli się z autopsji przekonać, jak tam jest. Polska okazała się inna niż moje wyobrażenia o niej, od razu mnie podbiła.

E.B.: Czym?

N.D.: Typem kontaktu z ludźmi, sposobem, w jaki Polacy porozumiewali się z nami, no, i treścią tego, co mówili. Były to lata sześćdziesiąte, a oni sporo jeszcze mówili o wojnie.

E.B.: To Pana tak zafrapowało?
N.D.: Musi Pani pamiętać, że wojna w Polsce była czymś zupełnie innym niż w Anglii, że przeżycia ludzkie miały tu zupełnie inny wymiar. Właściwie od tego zetknięcia z polskimi wojennymi doznaniami zaczęło się moje zainteresowanie historią Polski. Bardzo też ciekawił mnie Kościół. Wywodzę się z rodziny protestanckiej i cały świat katolicki był dla mnie egzotyką. Pamiętam, jak wielkie wrażenie wywarła na mnie "walka o krzyż" w Nowej Hucie...
E.B.: Opór się Panu podobał?
N.D.: Tak, bo był autentyczny i pochodził z dołu, od prostych ludzi. Egzotyką był też dla mnie ten cały wasz bałagan, z pozornym tylko brakiem logiki. Wszystko inaczej niż u nas. Trudno mi było na przykład pojąć, że milicja to gangsterzy; milicjant, który bez żenady proponuje wymianę waluty na czarnym rynku.
E.B.: Czy chce Pan przez to powiedzieć, że angielscy policjanci są bez skazy?
N.D.: Tak przynajmniej przeciętny Anglik o nich myśli.
E.B.: No dobrze, a co się Panu u nas nie podobało?
N.D.: I co mi się nie podoba do dziś - to ta wasza wieczna pretensja do obcych za historię własnego kraju.
E.B.: No tak. "Nocne Polaków rozmowy" przeważnie schodzą na jedno: jak to nas w historii wykorzystywano. Nie rozpoczynajmy tego tematu. Zapytam Pana, jak pytam wiele osób: Za kogo się Pan uważa?
N.D.: Za pisarza, który wyjaśnia problemy pewnych wybranych grup i jednostek szerszemu gremium. Uważam historię za gałąź pisarstwa. Drak mi

cierpliwości do "historii socjologicznej", zawsze bardziej interesowały mnie dzieje jednostek, i niekoniecznie tych najbardziej znanych.
E.B.: Stąd zapewne tyle w Pańskich pracach interpretacji zjawisk historycznych poprzez dzieła literackie. Czy uważa Pan, że literatura jest kluczem do zrozumienia historii?
N.D.: Jednym z kluczy, na pewno. Jak również jest nim, prócz dokumentów - bajka i legenda.
E.B.: Nie przeraża Pana ugrzęźnięcie w polskim temacie?
N.D.: Tak, stale myślę, że powinieniem już z Polską skończyć i zająć się czymś innym, na przykład historią Włoch; nieźle znam włoski i swoje studia rozpocząłem właśnie od tego kraju. Ale z drugiej strony kusi mnie napisanie całościowej historii Polski. Takie zamierzenie: jeden człowiek wobec tych wszystkich różnorodnych źródeł, zanurzony w nie, czerpiący z nich, i żeby to zrobić w ciągu jakichś dziesięciu lat.
E.B.: A niebezpieczeństwa takiego zanurzenia?
N.D.: No, są. Można się wpakować w zaściankowość, w parafiańszczyznę bez znaczenia; choć z drugiej strony, w Polsce każdy szczegół jest ważny, bo Polska jest krajem na wskroś europejskim. Tu krzyżują się wszelkie ważne prądy europejskie i wszelkie działania. Od początku osiemnastego wieku Polska staje się w tej samej mierze polem działania dla innych, co dla działania własnego. Z tym, że ja nie wierzę, żeby geopolityka była przyczyną tej całej waszej biedy. To nieprawda. Polska miała historyczną szansę, żeby zostać potęgą.
E.B.: Więc gdzie leży przyczyna upadku? Polacy

dyskutują na ten temat od wieków, jak Pan to widzi?

N.D.: Jako kompleks różnorodnych czynników, zawęźlonych i nierozwiązanych pod koniec panowania Sobieskiego i na początku osiemnastego wieku. Kompleks czynników wojskowych, politycznych, ustrojowych, społecznych, gospodarczych. Wszystko, moim zdaniem, było do zreformowania. Oczywiście, jednym z czynników była geopolityka, dlatego na przykład Szwecja, która miała podobne słabości co Polska, albo Hiszpania - jeszcze większe - przeżyły. Geopolityka, tak, ale nie tylko...

E.B.: Mogła być jej siłą, ta geopolityka?

N.D.: Mogła. Ciekawe, dlaczego Polska nie stała się mocarstwem, tylko Moskwa, która miała szanse, zdawałoby się, mniejsze, albo Prusy. Prusy były niczym, a jaką stały się potęgą. Rozpatrzmy sprawę w kategoriach psychologicznych: Moskwa i Prusy miały bardzo trudne początki, racjonalnie patrząc, widoki ich na przeżycie jako państwa były nikłe, zwłaszcza w przypadku Prus. I może dlatego, że początki były tak trudne, ta roślina polityczna okrzepła. Polska rozwijała się w XV i XVI wieku niesłychanie szybko, powiedziałbym, za szybko, no i ta szybkość sprawiła, że Polacy odurzyli się swoim powodzeniem, przestali dopuszczać do świadomości ewentualność porażki.

E.B. Więc zgubił nas dynamizm rozwojowy?

N.D.: Boście go nie kontrolowali.

E.B.: A jednak Pan nie rozstaje się z tym krajem, zadufanym w siebie, zaprzepaszczającym swoją szansę...

N.D.: Mało! Pragnę temat poszerzyć o problem emigracji. Emigracja polska istnieje od trzystu lat i stale odżywiana jest nową tkanką. Nasz

zakład na Uniwersytecie Londyńskim rozpoczął badania nad najbliższą nam emigracją w Anglii, w zakresie różnych dyscyplin, również dla historyka mało typowych, jak antropologia czy psychologia. Moim zdaniem, emigracja polska ma kolosalne znaczenie dla życia narodu, powiem, że dlatego Polska jest narodem tak wyróżniającym się w bloku komunistycznym, bo ma taką emigrację.
E.B.: Ma Pan na myśli jej zasługi piśmiennicze i informacyjne? Tak, ja też doceniam tę poprawkę nad ołówkiem cenzora czynioną jej rękami. Ale temat emigracji wydaje mi się tematem martwym, bo emigracja skazana jest na śmierć z natury rzeczy. Emigracja najpierw cierpi, a potem degraduje się do getta mniejszościowego w kraju zamieszkania. Przechowuje tradycję w sposób bardzo powierzchowny, sprowadzający się do kuchennej obrzędowości. Padło tu już z pańskich ust słowo "parafiańszczyzna"; emigracja to wielka prowincja. Oczywiście, istnieją elity, i te są aktywne. Ale i wśród nich obserwuje się zanik najwartościowszych cech "starego Kraju", takich jak, w przypadku Polaków: szczodrobliwości czy gościnności. Może w odruchu obronnym, ale dopasowują się w sposób mało twórczy, raczej imitacyjny, do stylu tubylców. Ja tego nie mówię oceniająco, jest to zapewne proces nieuchronny w każdej emigracji, ale czy musimy o tym mówić? Czuję pewien niedosyt w tym, co Pan powiedział o genezie swojego zainteresowania Polską...
N.D.: Więc powtórzę: nie było tu racjonalnej decyzji z mojej strony. Naukowo lepiej byłem przygotowany do studiów nad Włochami. Z Polską związał mnie przypadek i trudne przeżycia osobiste.

Dzięki niemu poznałem głębiej kilku Polaków, których poglądy i wartości mnie zafrapowały i które zapragnąłem poznać szerzej. To wszystko.
E.B.: No i jeszcze raz: co Pana w Polakach razi?
N.D.: Polacy są tak różnorodni! Ale wielu reprezentuje stanowisko absolutnie dla mnie nie do przyjęcia. Jest nim polski nacjonalizm, który spotyka się na każdym kroku. Stąd bierze się przerysowane poczucie własnej krzywdy, stąd ksenofobia, a co najmniej brak tolerancji wobec mniejszości narodowych: Niemców, Żydów, Ukraińców...
E.B.: I obecnie?
N.D.: Obecnie ten "przedwojenny nacjonalizm" jest kultywowany przede wszystkim w propagandzie władz.
E.B.: Ale propaganda nie pokrywa się z opinią społeczeństwa.
N.D.: Niestety, w tym jednym punkcie pokrywa się. Jako historyk jestem szczególnie na to zjawisko wyczulony. Otóż bardzo często słyszę od młodych Polaków, że Gdańsk był zawsze miastem polskim. Absurd! Według mnie, jest się czym szczycić, że właśnie miasto niemieckie, Danzig, było tak lojalne wobec Rzeczypospolitej, że ci dawni Niemcy w Gdańsku - choć byli oni antypruscy, byli to jednak Niemcy - czuli się dobrze przy Polsce. Jest nonsensem to, czego się uczy dziś w polskich szkołach, że gdańszczanie byli to albo patrioci polscy, albo Niemcy-polakożercy. Nic podobnego! To się stało dopiero w XIX i XX wieku.
E.B.: No, ale obecnie nie ma problemu Gdańska.
N.D.: To właśnie chciałem powiedzieć: o ile

nacjonalizm miał swoje racje w XIX wieku, kiedy to wśród ludności mieszanej każdy żywioł musiał się bronić, o tyle nie ma ich dziś. Dziś żaden nacjonalizm nie ma sensu, zamyka oczy na własną sytuację, oślepia, pozwala sobą manipulować w dowolnym kierunku. I tak, polska opinia "kupiła" od oficjalnej propagandy "legendę piastowską" oraz ujęcie sprawy Ziem Zachodnich i Kresów Wschodnich. Proszę zapytać młodego Polaka, każdy powie, że Ziemie Zachodnie są odzyskane, a wschodnie nigdy nie były nasze...

E.B.: Więc jaki jest ten obecny czas dla naszego kraju, jak go Pan określi?

N.D.: Jest to dalszy ciąg tego ogromnego okresu ciągnącego się od XVIII wieku, kiedy celem narodu było przede wszystkim przetrwanie; nie ma mowy o jakimś wielkim zwycięstwie; samo przeżycie jest największym osiągnięciem, na jakie Polacy mogą liczyć i na jakim muszą koncentrować swoją uwagę.

E.B.: Przygnębiające. Nigdy się Pan Polską nie nudzi?

N.D.: Nudzi? Nie, nigdy. Wiele można o Polsce powiedzieć, ale nudna nie jest. Przede wszystkim, konieczność samookreślenia się w stosunku do systemu czyni każdego Polaka interesującym. Nikt nie może się wyizolować, musi zająć stanowisko. Głębokie konflikty moralne na tle samookreślenia zachodzące nie tylko w grupach, ale w każdym człowieku indywidualnie, to jest pasjonujące...

E.B.: Tak, system zmusza do zajęcia postawy moralnej. Uzmysławiam sobie ten fakt dość nieoczekiwanie przy lekturze powieści współczesnego pisarza rosyjskiego, Trifonowa. Nikt się nie

może przyczaić, nikt nie może zagrać moralności. Od razu widać, kto jest dużą świnią czy małą świnką, kto się świni ze strachu, a kto z cynizmu. U was na przykład, można z kimś życie przeżyć i nie dowiedzieć się, kim jest. Takim sprawdzianem były też czasy okupacji. Polska cieszyła się pochlebną opinią, bo nie wydała ze swego łona żadnego Quislinga. Spotkałam się ze zdaniem wybitnego dziennikarza angielskiego, że gdyby Anglia była pod okupacją, to by masowo kolaborowała, jak Pan myśli?

N.D.: Anglicy nigdy nie stali przed podobnym problemem - nie wiem. Z jednej strony mają w sobie to naiwne poddanie się władzy wynikające z niezagrożonej długo suwerenności; z drugiej - istnieje w nich silne poczucie swobody. Która cecha wzięłaby górę pod obcą okupacją, trudno przewidzieć. Osobiście, mogę doskonale wyobrazić sobie silny ruch oporu w Anglii; niekoniecznie walki zbrojnej, ale całe to państwo podziemne funkcjonujące na zasadzie istnienia własnego obiegu kulturalnego z rozwiniętymi gałęziami sztuki i piśmiennictwa.

E.B. Co Pan myśli o polskiej literaturze?

N.D.: Z dystansu uderza przede wszystkim jej rola społeczna, nieporównywalnie większa niż w społeczeństwach wolnych, które mają możność wypowiadania się w inny sposób.

E.B.: Ale ja myślę o wartości artystycznej.

N.D.: Rola społeczna jej nie zmniejsza. Lubuję się w polskiej literaturze, choć mam świadomość jej nieprzetłumaczalności. Taki Mickiewicz czy Sienkiewicz są nie do czytania dla Anglika. Moi studenci nie mogą pojąć, co w nich ciekawego.

E.B.: Wymienił Pan tych dwu pisarzy jednym

tchem, a dla Polaka są oni nieporównywalni. Więc, wedle Pana, hermetyczność literatury polskiej zawiera się w doli narodu pozbawionego wolności. Ale przecież Irlandia, która też nie miała wolności, stworzyła literaturę uniwersalną.

N.D.: Pisaną po angielsku.

E.B.: Czyli jest to kwestia języka światowego.

N.D.: Chodzi o te subtelne warstwy języka, o ten cały system kodów, znaków, kontekstów, którego nie da się oddać bez straty w innym języku.

E.B.: Czy to walor, czy strata?

N.D.: Ani to, ani to. Po prostu tak się stało.

E.B.: A co się stanie z Polską?

N.D.: Los Polski wiąże się z rozwojem sytuacji światowej.

E.B.: Chodzi mi o ewolucję samych Polaków.

N.D.: Ja to widzę w perspektywie pewnych cykli ustalonych od dwustu lat. Okresy tak zwanego pozytywizmu przeplatają się z "romantyzmem"; bunt i odejście od buntu...

E.B.: Czyli teraz szykuje się okres takiego uśpienia, tak?

N.D.: Tak całkiem to ja nie jestem przekonany, że ten "okres buntu" już się skończył. Istnieją przesłanki na dalszy ciąg tego "powstania"; niezwykłego "powstania", bo "Solidarność" na pewno była "powstaniem", ale w sensie moralnym; jej metody były nietypowe dla dotychczasowej historii Polski.

E.B.: Skutki podobne. Co Pan myśli o religijności Polaków?

N.D.: Różnie. Muszę wyznać, że często uderzał mnie dogmatyzm klerykalny przypominający mi

dogmatyzm protestancki, od którego uciekłem. Z drugiej strony, widzę ten Kościół jako bardzo szeroki, gdzie jest miejsce na wiele postaw. Fascynującym zjawiskiem jest wiązanie się ludzi niewierzących z Kościołem.

E.B.: Nie razi to Pana?

N.D.: Przeciwnie. Uważam to za coś bardzo twórczego, chociaż wiele zależy od ludzi i od środowiska. Pamiętam spotkanie na KUL-u, gdzie chciałem mówić o ekumenizmie w Anglii, o tych wszystkich wyznaniach chrześcijańskich, jakich w Polsce nie ma lub prawie nie ma, ale spotkałem się z całkowitą ignorancją i zupełnym brakiem zainteresowania.

E.B.: Na KUL-u też są różne środowiska. A jak Pan ocenia Papieża?

N.D.: Właśnie! On jest wolny od tego zaściankowego spojrzenia, choć jest ono obecne również i w Watykanie. W rozmowie ze mną Papież wyraźnie określił, gdzie stoi.

E.B. Na Zachodzie zarzuca się mu konserwatyzm w sprawach wiary.

N.D.: Nie rozumiem, jak można być konserwatystą czy liberałem w sprawach wiary. Albo się wierzy, albo nie.

E.B.: Na koniec, chciałabym Panu zadać pytanie ankietowe "dla Polaków": "Czym jest dla Pana miłość ojczyzny?"

N.D.: Ciekawe. Jest to szczególny stosunek emocjonalny, zabarwiony ostrym krytycyzmem, ale i bezwzględnym poparciem i poczuciem odpowiedzialności za losy tej zbiorowości, którą nazywa się ojczyzną. U mnie ten stosunek jest pojęciem wielowarstwowym: urodziłem się w Anglii, ale moja rodzina pochodzi z Walii, ponadto, mam

poczucie wspólnoty brytyjskiej.
E.B.: Wspólnota brytyjska kojarzy się z postawą imperialną. Byłam niedawno w Ulsterze, widać to tam jak na dłoni.
N.D.: Mam wiele sympatii dla katolików ulsterskich, więcej niż dla protestantów, choć urodziłem się jako protestant. Absolutnie nie czuję, że protestanci ulsterscy to nasi, to Szkoci z pochodzenia...
E.B.: Acha! Więc i Anglicy są nacjonalistami! Chciałam jeszcze spytać, co by Pan dla ojczyzny zrobił, a czego nie?
N.D.: Umierać czy pracować, tak? Za młody jestem, żeby umierać, ale pracować, istnieć dla ojczyzny, to ja rozumiem.
E.B.: Może tym akcentem zakończymy? Bo dyskusji o umieraniu za ojczyznę nie podejmę; tym bardziej, że z miejsca się z Panem nie zgadzam: za ojczyznę z dobrawoli umiera się tylko za młodu, albo wcale. Dziękuję!